

**Henryk Skrzypiński**

## **Sekrety ulicy Kącik**

**słowa kluczowe:** Bydgoszcz, ulice, ul. Kącik

Niegdyś w Bydgoszczy była aleja o nazwie „Kastanienallee”. W czasach kiedy tej trasie nadano ową nobilitującą nazwę „alei Kasztanowej”, prowadziła ona od wówczas tworzonej ulicy Garbary do otwieranego właśnie Kanału Bydgoskiego i jego pierwszej śluzy. Aleja wiodła do skwerku urządzonego wokół umieszczonego na cokole popiersia Baltazara von Brenckenhoffa. Zasługi tego inżyniera sprowadzają się do prac nad projektem i nadzoru nad budową kanału i rozległego systemu dróg wodnych i melioracji od ujścia Brdy po rzekę Odrę. Upamiętniono go ponadto, nadając polskiemu Bocianowu jego nazwisko. Warto wspomnieć, że drogę biegnącą od skwerku wzdłuż kanału nazwano „Seilergang”, co oznaczało ścieżkę holowniczą. Gdy w 1920 roku wybuchła Polska, ścieżka była już lubianą aleją spacerową nazwaną „Bielany”. Na planach miasta z wczesnego PRL-u jeszcze figuruje ulica Bielany. Zatarły niestety ten historyczny ślad zniknął z chwilą, gdy po kanale pozostał tu zaledwie ciek pod zmodernizowaną ulicą Marszałka F. Focha.

Wiedzę o tym, co działo się tutaj wokół zachowanej ulicy Kącik, czerpałem drogą naturalnej chłopięcej ciekawości i zainteresowań. Już jako sześćioletni brzdąc z elementarzem pana Falskiego w tornistrze, zacząłem przemierzać przez siedem lat ulicę Kącik w drodze do mojej dobrej Szkoły Powszechnej nr 10 im. Świętej Trójcy przy ulicy Augusta Kordeckiego. Od 1932 roku zamieszkałem wraz z rodzicami przy ulicy Garbary nr 14, po tym jak z odległego końca ulicy Kujawskiej ojciec mój, Albert, znacznie skrócił sobie drogę do pracy na kolei. Moja droga do szkoły, zwłaszcza powrotna, obfitowała w różne, zależne od pory roku, zjawiska i wydarzenia. Najpierw były to kasztany spadające z szesnatu okazałych drzew wyznaczających dawną „Kastanienallee”. Dwa potężne kasztanowce rosnące na opadającej łukiem alei miały liczne dziuple, czasowo zamieszkiwane przez wiewiórki. Dziuple zachęcały do wspinaczki. Wyjątkowo obszerna okazywała się przydatna organizatorom hazardu ulicznego, o czym niżej.

Trudno dociec przyczyn umierania tych drzew. Dziś miałyby one po 200 lat. W Bydgoszczy przetrwała imponująca aleja kasztanowców w podobnym wieku wzdłuż ulic Tamka i Mennica na odcinku wiodącym do Białego Spichrza. Tutaj uchroniono je od niszczącego działania szkodników. Szpalerowi kasztanowców wzdłuż Kącika zaszkodziła być może zbudowana zbyt blisko fabryka pod nazwą „ALFA”, produkująca materiały fotograficzne z pokaźnym przerobem chemikaliów. W latach 30. XX wieku, właścicielowi fabryki, panu Działkiewiczowi, niemiecka firma „AGFA” wytoczyła sprawę o plagiat, ale proces przegrała. Dopiero okupanci niemieccy odebrali właścicielowi fabrykę i nazwali „OPTA”. Usytuowane równolegle do tej chemikaliami zionącej fabryki zabudowania magazynowe fabryki czekolady „Lukullus” pachniały smakołykami wytwarzanymi w zakładzie przy ulicy Poznańskiej.

Dziś już tylko zapach wypiekanych tu produktów cukierniczych firmy „Jutrzenka” dociera do nowo zbudowanego przystanku tramwajowego Garbary u wylotu Królowej Jadwigi. Wyniosłe kasztanowce cieszyły miejscową dzieciarnię, gdy zasypywały kasztanami ulicę Kącik. Świątym uzupełnieniem tych niejadalnych u nas owoców, lecz cenionego surowca na lekcjach prac ręcznych, były żołędzie. Dęby rosnące tu nadal wzdłuż nieistniejącej pierwszej słuzy kanału oddzielały od niej domek śluzowego pana Drażkowskiego, nadzorcy z ramienia Urzędu Dróg Wodnych, ojca mojej szkolnej koleżanki.

Skoro mowa o zapachach, nie sposób nie wspomnieć o udrękach, jakich doznawali mieszkańcy ulic Artura Grottgera, Adama Naruszewicza i Królowej Jadwigi ze strony „Fabryki Skór” Ludwiga Buchholza, czyli dużej garbarni, sięgającej zabudowaniami brzegu rzeki Brdy. Szczęśliwie zagospodarowanie tej przestrzeni przez Wyższą Szkołę Gospodarki uwolniło mieszkańców od potwornych dawek fetoru z opróżnionych silosów z odpadami garbarskimi. Godzi się przypomnieć, że na elewacjach domów Buchholza u wylotu ulicy Kącik do niedawna widniały ślady po pociskach broni maszynowej skierowanych 3 września 1939 roku w otwory okienne ówczesnego magazynu skór gotowych. Rozległy teren niemieckiej fabryki z licznymi zakamarkami stanowił odpowiedni „Stützpunkt” dla dywersantów. Ślady wymiany ognia widoczne były do końca modernizacji tych obiektów.

Święty Marcin – patron Bydgoszczy – dawał o sobie znać w listopadowym dniu swego imienia, przybywając na „białym koniu”, czyli wraz z pierwszym opadem śniegu. Zjawisko to cieszyło na równi z rogalami nadziewanymi masą makową. Dzieciom zima spełniała się na spadzistym odcinku Kącika. Przed laty wzniesienie przy narożniku posesji „Lukullusa” było wyższe niż obecnie, zapewniające saneczkom lepszy rozpęd. Z biegiem czasu roboty ziemne na Kąciku znie-



Komora śluzy pierwszej na starym kanale przy ulicy A. Grottgera. Obecnie w tym miejscu znajduje się przystanek Garbary. Po prawej dom mieszkalny „śluzowego”, za nim widoczne dęby opisane w tekście (fot. ze zbiorów Henryka Skrzypińskiego)

kształciły nawierzchnię ulicy. Zaniedbano sprawność kanalizacji deszczowej, zwłaszcza że mało kto przechodzi dziś skracającą niegdyś drogę aleją kasztanową. W latach 30. XX wieku zamrożony kanał na wprost Kącika stawał się ożywionym lodowiskiem. Sceneria z łyżwiarzami, kamiennym mostem Władysława IV, białe szachulcowe ściany fabryczki obuwia Pankratza z czarnymi krukami wśród konarów staro-

rodrzewia, tworzyły scenię godną twórców zimowych pejzaży holenderskich.

Idylliczny ten nastrój wkrótce niweczyły ekipy browarów bydgoskich. Gdy lód na kanale osiągał grubość 30 centymetrów, pracownicy ci wytyczali żerdziami wbitymi w lód pola o sporej powierzchni. Siekierami i piłami wycinali tafle lodu, wydobywali je bosakami i zręcznymi ruchami silnych ramion wrzucali lód do wozów podstawionych na niskim w tym miejscu brzegu kanału. Zaprzężone perszerony ciągnęły bryły lodu do browaru. Pozyskiwany zimą zapas lodu składowano nie tylko w lochach browaru, lecz także na wolnym powietrzu. W tym celu wznoszono kopce izolowane warstwami trocin i ziemi. W kopcach usytuowanych w cieniu akacji lód trzymał się do letniej pory. Ślady tychże zachowały się przy ulicy Unii Lubelskiej na przedłużeniu dawnego Browaru Wielkopolskiego. Wraz z ociepleniem na specjalne platformy o pochylej ku wnętrzu podłodze bez burt swobodnie ustawiano stosy skrzyń z piwem, w tym butelki zalecanego dla karmiących matek karmelowego „MATUŚ”. Dębowe beczki zwisały na hakach między kołami. Pociągowe perszerony i postawni woźnice w skórzanych fartuchach i czapkach z mosiężnym emblematem stanowili żywą reklamę browaru. Nie zdarzyło się, aby swobodnie stojący stos spadł z platformy i się rozbił. Stało się tak w czasach nowoczesnego transportu, gdy stos cennego trunku rozbił się na jednej z bydgoskich ulic. W dawnych latach turkot żelaznych obręczy kół i dźwięczące butelki zapowiadały nadejście piwa chłodzonego lodem czerpanym z kanału, gdy technika chłodnicza nie była tak rozwinięta jak dziś.

Na przedwiośniu, gdy pochyłości Kącika pokrywały znikome resztki śniegu, dzieciarnia nie dawała za wygraną. Pozostał topniejący lód na kanale. Cienki na parę centymetrów, z warstwą wody na powierzchni nie nadawał się do jazdy na łyżwach. Co odważniejsi uprawiali ryzykowną zabawę „Gummieis”. Nazwa wskazuje na tradycję z czasów zaboru pruskiego, gdy miękki lód poddaje się falowaniu wody. Śladem niedawnej ślizgawki można było rozpędem od Kącika i skokiem na lód przebyć ślizgiem po falującej jak guma tafli na drugi brzeg kanału po ulicę Focha, wśród odkosów wody wlewającej się do butów. Dziesięcioletni wówczas autor, ignorując ostrzeżenia rodziców, chyłkiem uprawiał ten „sport”, po raz ostatni przed Wielkanocą 1936 roku. Wtedy to falujący lód załamał się. Zdołałem uchwycić się deski sterczącej od brzegu kanału. Koledzy rówieśnicy doradzali mi – ociekającemu wodą – aby udać się na ulicę Gdańską do otwartego właśnie domu towarowego Woolwortha, skąd obeschnięty w wyjątkowym cieple, wróć do domu i „starzy” się nie poznają. Przechodząca pani doradziła: *chlopczyku, idź szybko do domu, tatuś na pewno nic ci nie robi*. Posłuchałem, egzekucji za kłamstwo nie unikałem, a wskutek przeziębienia święta spędziłem w szpitalu zakaźnym św. Floriana.

Z nadejściem wiosny w drodze do szkoły, kiedy już się szło Kącikiem, oczom młodego obserwatora ukazywała się u wylotu ul. A. Kordeckiego ukończona właśnie stacja benzynowa. Ogromny napis VACCUM OIL COMPANY uczniowie w mig spolszczyli na: „Wacuuś w oleju kąpany”. Kanał w tym czasie tak szczelnie pokryły wodorosty, że nie tylko poruszanie się po nim kajakiem było niemożliwe, ale liczne niegdyś w nim ryby nie znajdowały tu warunków do życia. Zaczynał pan Friebe, nauczyciel geografii i przyrody, wytłumaczył, że to „zaraza kanadyjska”, uciążliwy szkodnik wielu portów, przywleczony przez statki zza Atlantyku. Ten absolwent starej pruskiej szkoły potrafił na swój sposób na trwałe wpoić swoim uczniom wiedzę o świecie. Żegluga w Bydgoszczy odbywała się od 1915 roku nowym, sprawniejszym odcinkiem kanału.

Pewnego majowego dnia po lekcjach w drodze do domu „dały się słyszeć” (bydgoskie) od strony Kącika dźwięki fletu. Moje muzyczne ucho wychwytyło starannie wykonywane melodie klasyczne zasłyszane z zakupionego właśnie przez ojca radiodbiornika. Za chwilę odezwał się klarnet. Było coś szlachetnego w brzmieniu instrumentów niedostrzegalnego na razie muzyka. Po przejściu przez nieistniejący dziś most na ulicy Artura Grottgera widoczne stało się źródło zadziwiających dźwięków. Był to absolutnie negatywnie kontrastujący z urodą wykonywanych dźwięków człowiek o zarośniętym obliczu, w niedbałym czarnym ubraniu, wskazującym na lepsze czasy artysty. Muzyk ten trwał przez okrągłe lato na wzgórkach Kącika przy kamieniu granicznym posesji „Lukullusa”.

Odpowiedzi na intrygujące pytanie: kim jest i skąd przybył ten świetny zresztą muzyk, udzielili kompetentny jak zwykle pan Stanisław Kaczmarek, budowniczy fortepianów, przyjaciel naszej rodziny, i wuj Ludwik Faleńczyk, pracujący w bydgoskiej fabryce fortepianów Sommerfelda. Tajemniczy muzyk nazywa się Ignatz Krause, jest Żydem i pochodzi z Berlina. W opanowanych przez nazistów Niemczech tego artystę, członka jednej ze słynnych berlińskich orkiestr symfonicznych, w wyniku polityki rasistowskiej pozbawiono możliwości pracy z powodu niearyjskiego pochodzenia.

W świecie muzycznej Bydgoszczy ton nadawały rodziny Rezlerów i Winterfeldów. Oczywista obecność fachowców branży instrumentów muzycznych, jak: Kielbich, Sommerfeld, Majewski czy Arnold Fibiger, sprawiała, że orientowano się „who is who” nawet w odległym Berlinie. Pan Kaczmarek, doskonały rzemieślnik wywodzący się z polonijnego środowiska Charlottenburga berlińskiego, już tam poznał Krauzego, choć nie sięgał tamtejszych niemieckich sfer towarzyskich. Po tym jak w 1920 roku nastąpiła w Bydgoszczy Polska, wielu zamieszkałych w Berlinie, a zwłaszcza w Westfalii, Polaków wracało do Ojczyzny.

Prześladowany Ignatz Krause, uchodząc przed napastnikami, wybrał Bydgoszcz. Wiedział o istniejącym tutaj środowisku zawodowym. W naszym mieście nie było agresywnych postaw wobec Żydów. Nieliczna antysemitka grupa wokół czasopisma „Samoobrona...” głosiła bojkot hasłami typu „nie kupuj u Żyda”, ale nadal kupowano w tych paru sklepach tańsze towary (przeważnie odzież), okien w nich nie wybijano. Nie dopuszczano się jakichkolwiek profanacji. Kiedy latem 1939 roku na Kąciku zabrakło Krauzego, domyślano się, że zdołał się schronić wśród zasobnych współwyznawców w cieniu imponującej bydgoskiej synagogi.



Odcinek kanału z mostem kamiennym Władysława IV. Niegdyś początek ulicy Grunwaldzkiej (fot. ze zbiorów Henryka Skrzypińskiego)

W atmosferze zagrożenia wojennego nieszczęsny artysta, Niemiec i do tego Żyd, nie mógł liczyć na elity bydgoskie.

Lata nauki w mojej dobrej szkole zrobiły swoje. Penetracja okolic Kącika, nabrzeży Brdy, awanportów starej służby i służby miejskiej sprawiły, że kolejną atrakcją stała się ulica Tamka. Malownicza droga na

grobli oddzielającej Młynówkę od Brdy żeglownej, ożywionej w tamtych latach ruchem parostatków, barek motorowych, berlinek i tratw, pozostała niepowtarzalnym punktem widokowym w postaci alei kasztanowej na zmodernizowanej ostatnio Tamce. Niegdyś stojący u zbiegu Tamki i Focha blaszany szalet – jeden z pięciu w mieście – od czasów pruskich zwany „pisbudą”, woniejący smołą, lizolem, chlorem i uryną, przyciągał nie tylko potrzebujących. Umieszczone wewnątrz „budy” dwie starannie wykonane emaliowane tablice głosiły teksty, jakich w szkole nikt nie odważyłby się wypowiadać. Dla ciekawego i rozgarniętego ucznia brzmiały one tajemniczo: 1. *PRZED WYJŚCIEM uprasza się garderobę uporządkować*. Wezwanie powyższe było zrozumiałe, miało zapobiegać tego rodzaju czynnościom wśród przechodniów. 2. *WENERYCZNIE CHORZY na rzeżączkę (tryper), kiłę (syfilis), wrzód miękki (szankier), zgłaszajcie się do bezpłatnej poradni lekarskiej przy ulicy Bernardyńskiej 3*.

Pruderyjne zachowania i „niewymowne” słownictwo poczęły zanikać po wojnie. Wyświetlana była w latach 50. zabawna francuska komedia filmowa pt. „Skandal w Clochemerle” o tarapatach burmistrza, radnych i władzy duchownej tego prowansalskiego miasteczka z powodu uruchomienia pierwszego w dziejach blaszanego szaletu. Szacowny bydgoski „Ilustrowany Kurier Polski” kontynuował tę uciśzną opowieść na swoich łamach w postaci komiksu. Odtąd bydgoskie „pisbudy” zaczęto nazywać „kloszmerkami”.

Z krajobrazu miasta zniknęły blaszane szalety, a wraz z nimi inne relikty higieny publicznej w postaci spluwaczek. W salach urzędów, korytarzach i poczekalniach rozmieszczono pod ścianami płaskie emaliowane naczynia z wodą, nakryte lejkowatą pokrywą z otworem pośrodku (na kolei bywały one ciężkie, mosiężne). Umieszczony nad naczyniami napis głosił: *Pluć tylko do spluwaczki, plwociny są rozsądnikiem gruźlicy (suchot)*. Nie potrzeba opisów, aby wyobrazić sobie takie miejsce otoczone nie zawsze celnie umieszczonymi produktami kaszlu i niedopalkami papierosów i cygar. O ile lepsze czasy nastały odkąd palenie nawet na przystankach jest ścigane prawem. Zagrożenia i obyczajowość, w jakich wzrastał autor, naświetlił po latach artykuł panów doktorów Mikołajczaka i Kujawy nt. chorób wenerycznych w Bydgoszczy („Kronika Bydgoska” 2009). Dzięki nim zdobyłem się na śmiałość i wspomnienie o obiektach „nieprzyzwoitych”, które wszak należały do krajobrazu ukochanego mojego miasta.

Wakacje rozpoczynane w czerwcu dawały szansę poznawania życia na sposób daleki od szkolnej rutyny. Sprzyjały temu zjawiska występujące na ulicy Kącik. Z nadejściem lata pojawili się nielegalni hazardziści i naciągacze. Język, jakim posługiwali się, oraz maniery nie były bydgoskie, ale nie były mi obce. Śpiewną ich fonetyką brzmiała mowa naszego sąsiada pana Henryka Kocięckiego,

właściciela domu, w którym mieszkaliśmy, i kawiarni „Italia” przy Gdańskiej 26. Pochodził z północnego Mazowsza. Wyróżniał go tamtejszy barwny język.

W dni powszednie Kącik wypełniali liczni przechodnie zmierzający tędy skrótem przez Garbary i Królowej Jadwigi do Dworcowej. Po drodze u zbiegu Bielani i Grottgera, napotykali stoisko ze słodyczami pod kolorowym parasolem. Domniemany sprzedawca zachęcał do gry w „para – nie para”. Do tej zabawy służyły popularne małe cukierki „IRYS”, opakowane w papierki z długą wystającą końcówką. Masę tych cukierków rozsypaną na stole krupier miesza splaszczoną dłonią, po czym na oczach gapiów starannie dzieli na dwa zbiory: parzysty i nieparzysty, nawołując do skupienia uwagi. Za chwilę bowiem ten, kto wskaże zbiór nieparzysty, wygra stawkę. Za złotego dostanie dwa, za dwa cztery itd., w zależności, ile kto zechce postawić. Każdy ze zbiorów przykrywa kawałkiem tektury. Chwilową zwłokę przerywa ktoś z grupy ciekawskich i kładzie przy upatrzonym nieparzystym zbiorze złotówkę. Za chwilę następny kładzie dwa złote... Nastrój oczekiwania. Krupier zdejmuje tekturę i spokojnie odlicza parami cukierki po obstawionej stronie... Bravo! Wynik jest nieparzysty. Każdy z panów inicjujących grę otrzymuje rzetelną kwotę wygranej. Rozochoceni dwaj „szczęściarze” (czyli „asystenci” krupiera) przystępują do gry ponownie, podwyższając stawkę. Za nimi inni amatorzy wygranej, już ośmieleni także obstawiają. W zależności od koniunktury krupier pozwala i tym razem wygrać. Gdy kwota obstawy jest zadowalająca, krupier kończy grę na swoją korzyść. Po odliczeniu zbioru parzystego ukryty między jego palcami cukierek niepostrzeżenie wpada do zbioru nieparzystego, czyniąc go parzystym. Tym razem ponowna sesja, niestety, przegrana. Policja formalnie nie znajdowała podstaw do interwencji. Kramik ze słodyczami dysponował urzędowym pozwoleniem na sprzedaż publiczną, a że sprzedawca zabawiał przy okazji swoją klientelę cukierkową loteryjką... cóż w tym złego?

Sposób naciągania na znaczne skrycie karty nie mógł liczyć na pobłażliwość, więc funkcjonował nielegalnie. Istniały gry w trzy blaszki, trzy lusterka, trzy naparstki. Na Kąciku grano w trzy karty. Jedna z trzech kart, czyli czerwony as karo, oznaczała wygraną. Pozostałe dwie w kolorze czarnym oznaczały przegraną. Krupier przerzucał karty po płaszczyźnie stolika zwanego „Nawojka”, wołając: *Patrzcie na moje ręce jak ja kręcę... proszę państwa, tu nie ma oszukaństwa... Czarne przegrywa, czerwone wygrywa!* Stawka i wygrana stanowiły kwoty podobne jak u tego „para – nie para”. Tutaj nie było kolorowego parasola, pożądany był natomiast sztafaż w postaci gromadki ciekawskich dzieci wokół stolika. Tajny asystent krupiera, gdy ocenił, że wśród gapiów jest zapalony do gry amator, czyli cwel, dawał znak krupierowi: *Odcwel pacanów!* Na takie hasło krupier odwracał się od kart, aby gromadkę dzieci odcwelić, a więc odsunąć od bliskości

stolika. Jednocześnie asystent udający przechodnia podnosił „życzliwie”, odwracając czerwony kolor przed oczy chętnego, i odginal rożek karty. Wznawiający grę krupier „nie dostrzegał” odgiętej karty. Ośmielony amator, zachęcany przez obstawiającego, na razie ostrożnie stawał „pólsnopem”. Inni badawczo śledzili ruchy. Krupier odwracał karty. Obstawiono prawidłowo. Za czerwoną jest wypłata wygranej. Oprócz „pólsnopa” występował także „snop”. Pojęcia te odnosiły się do ówczesnych srebrnych dwu- i pięciozłotówek z widniejącym na ich awersie wizerunkiem kobiet na tle snopów zboża.

Początkowo manipulacje krupiera przebiegają tak samo, lecz bez epizodu odcwelania pacanów. Odgięta karta działała nadal, tylko że to już nie jest karta czerwona. Krupier podczas kręcenia zręcznie odgiął kartę czarną i wyprostował czerwoną.

Trik z odgiętą kartą to najprostszy z wielu. Krupier potrafił na liczne sposoby podczas kręcenia kartami wykonać niedostrzegalny, różnego rodzaju „kłacz”, czyli prześlizg między kartami. Gra w czarną kulkę przemieszczaną między trzema kubkami lub naparstkami odwróconymi dnem do góry wymagała nie lada zręczności ze strony krupiera, aby pobudzić chęć oszołomionych amatorów „wygranej”.

Zakończenie gry w trzy karty albo jej przerwanie następowało po skutecznym „opypcieniu” naiwnego cwela lub w sytuacji zagrożenia. Zdarzało się, że czuwający na rogu Garbar czy Grottgera „świeca” sygnalizował „szkiela”, czyli policjanta („glina” w Bydgoszczy jeszcze nie funkcjonował). Na taki zew krupier zmieniał skórę, czyli odzież wierzchnią, i spokojnie oddalał się. „Nawojkę” likwidował asystent w łatwy sposób, wszak był to zaledwie trójnóg złożony z trzech prostych gałązek, wyciętych scyzorykiem z pobliskich krzewów, związanych sznurkiem i osadzonego na nich kartonu od butów. Taki stolik ukryty pod płaszczem lądował także za płotem w ogrodzie pana Działkiewicza albo w dziupli kasztanowca. Tajny język z domieszką kpiny, „Nawojka”, imiona: Stasiak, Olek, Kizior, wskazywały bydgoszczanom na pochodzenie ówczesnych cwanych pseudohazardzistów.

Podczas ostatnich wakacji w szczęśliwej Polsce hazardziści ożywiający Kącik, zniknęli. Zapewne zostali zmobilizowani. Jednego z nich przelotnie zauważyłem na mieście w mundurze kaprała lotnictwa. Potwierdzeniem ich losu może być zaobserwowana scenka po paru latach, gdy sam zostawszy żołnierzem, na urlopie w Rzymie zauważyłem u stóp Koloseum polskiego towarzysza broni usiłującego nakłonić miejscowych spacerowiczów do gry w nieznane im trzy karty. Zamiast „Nawojki” korzystał on z marmurowego podestu dostojnego zabytku. Żałuję, że go nie zagadałem, ale byłem zażenowany. Dziś mimo wielokrotnie oglądanego filmu „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”, podziwiam stale od nowa kunszt



pana Mariana Kociniaka w roli żołnierza pustynnego garnizonu ogrywającego w trzy karty arabską gawieź, a nawet samego komendanta. Polski „krupier” wykorzystuje „wygraną” na zakup żywności dla poprawy diety buntujących się żołnierzy, wywołując ich radość i zadowolenie zwierzchnika. Zabawne sceny z filmu wywołują uśmiech i wspomnienia.

Porównywanie obecnego stanu Kącika z dawnym lepiej ograniczyć do wspomnień. Aranżacja komunikacyjnego węzła Królowej Jadwigi z przystankiem Garbary jest spełnieniem marzeń dziecięcych, snutych w tym miejscu przez niżej podpisanego autora w słusznym wieku.

Dominujący w „Kronice Bydgoskiej” ton powagi postanowiłem ubarwić opowieściami o zapomnianych, mało ważnych, ale przecież bydgoskich, niepowtarzalnych zjawiskach. Użyta w tytule nazwa ulicy nadana przez władze miasta trwa od prawie stu lat. Wierzę, że opisane wydarzenia zostaną potraktowane przez czytelników jako przykłady zmiennego kolorytu prężnie rozwijającego się miasta.

## Secrets of Kącik Street

**keywords:** Bydgoszcz, streets, Kącik Street

### Summary

The author of memories about Kącik Street heading from Garbary Street to the Bydgoszcz Canal, built in the described period, draws on his own experiences, when he lived in this neighborhood as a young boy. He was walking this street every day on his way to school. He mentions sixteen huge chestnut trees, which flooded the street with chestnuts, “ALFA” factory manufacturing photographic materials with large-scale chemical processing, warehouse buildings of “Lukul-lus” Chocolate Factory, smelling with sweets made by the production factory on Poznańska Street, Ludwig Buchholz “Leather Factory,” and a huge tannery with buildings reaching the Brda riverside. He recalls winter games from his childhood, slides on the Canal, and sleigh rides. He also brings to mind a picturesque public restroom made from metal, which was an object of ridicule among local youth. He remembers Ignatz Krause, a Jewish street player, former member of the Berlin Symphonists, expelled from the Third Reich. There were many people and events building a unique atmosphere of this “title” street.

## **Geheimnisse der Kaçik-Straße**

**Schlüsselwörter:** Bydgoszcz, Straßen, Kaçik-Straße

### **Zusammenfassung**

Der Autor dieser Memoiren hat sein Wissen von der Kaçik-Straße, die von der Garbary-Straße bis zu dem damals neu in Betrieb genommenen Bydgoszczer Kanal geführt hatte, aus eigenen Erlebnissen gewonnen, weil er als kleiner Junge in dieser Gegend gelebt hatte. Die oben erwähnte Straße durchstreifte er jeden Tag auf seinem Schulwege. Er erwähnte daher 16 große Kastanienbäume, mit denen die Straße überschüttet wurde, die Fabrik „ALFA“, in der fotografische Materialien hergestellt und ansehnliche Mengen von Chemikalien verarbeitet waren, Lagergebäude der Schokoladefabrik „Lukullus“, die nach den in dem Werk in der Poznańska-Straße hergestellten Leckerbissen dufteten, die „Lederfabrik“ von Ludwig Buchholz, eine große Gerberei, deren Gebäude bis zu den Ufern des Flusses Brda hinreichten. Er beschrieb winterlichen Kinderspiele, Schlitterbahnen auf dem Kanal und Rodelabfahrten. Er erinnerte an die etwas pittoreske öffentliche Toilette aus Blech, die zum Scherzobjekt der hiesigen Jugendlichen wurde. Er erinnerte auch den Straßenspielmann Ignatz Krause, den ehemaligen Musiker der Berliner Symphoniker, der als Jude aus dem „braunen“ Reich vertrieben wurde. In den Memoiren wurden zahlreiche Personen und Ereignisse erwähnt. Sie bildeten das spezifische, einzigartige Klima der „Titelstraße“.